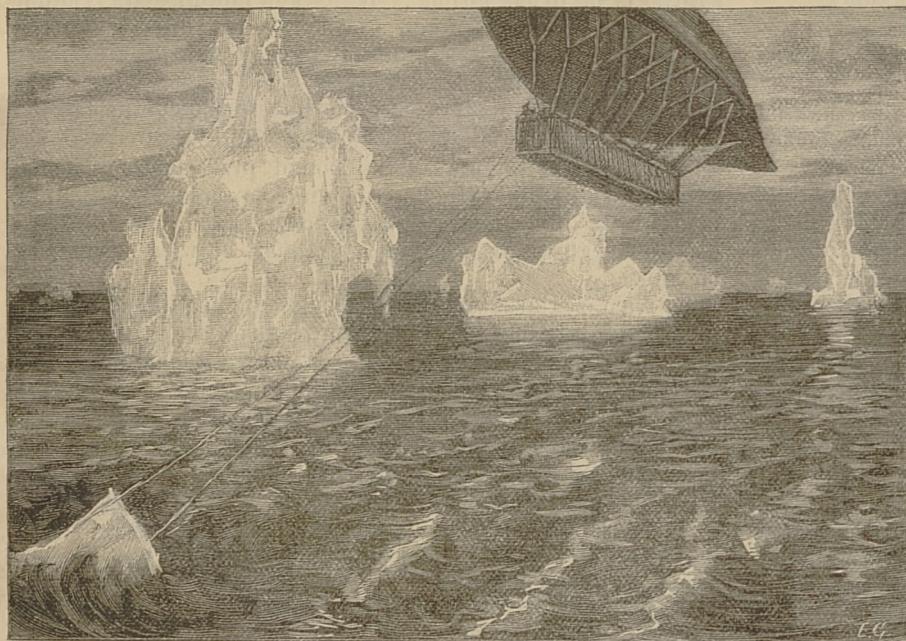




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Bryły lodu zbliżały się powoli do balonu...

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Więc radzisz poczekać, kapitanie.

— Zapewne; w podróżach moich do bieguna północnego, nieraz obserwowałem nagłe zmiany w kierunku prądów atmosferycznych.

— Niech i tak będzie! A zatem, zarzucimy kotwicę.

Worek płócienny, przywiązany do długiej na 200 metrów i mocnej linki, wisiał na poręczy łódki w zupełnej gotowości; inżynier odczepił go z haka i roztworzywszy poręcz wyrzucił precz na fale. Balon na mgnienie oka uwolniony od balastu 10-ciu kilogramów, podskoczył swawolnie; zaraz jednak wrócił do dawnego poziomu. Torba muskała zlekka bałwany, przeskakując z jednego wierzchołka na drugi, jak mewa pragnąca spocząć; stopniowo jednak dotknięcia te robiły ją coraz cięższą; po kilkunastu skokach znikła nagle w wysokiej fali, skąd wypłynęła pękata, niezgrabna, podobna do potwornej ryby, złowionej na wędkę. Szarpnięty aerostat zadrgał konwulsyjnie w splotach swej siatki, i zrobiwszy kilka rozpaczliwych susów z fali na fale, przypadł wyczerpany jakby do powierzchni oceanu.

— Stoimy! — zawołał Gromski.

VIII.

SZÓSTA CZĘŚĆ ŚWIATA.

Jak tylko kotwica workowa pogrzyżyła się w wodzie, nasi żeglarze uczuli zaraz silny prąd powietrza; wiatr, nie mogąc unosić dalej balonu, szarpał nim gniewnie, wytłaczał głębokie wklęsnięcia w kitajce i wydobywał przeciągłe tony z lin podtrzymujących łódkę.

Przebiegające spodem fale podrzucały rytmicznie torbę, wskutek czego balon kołysał się w powietrzu jednostajnie, jak gdyby sam dotykał powierzchni oceanu.

— Nie spodziewałem się, że wiatr tak bardzo da się nczuć — rzekł inżynier — mniejsza o to jednak, lina z łatwością wytrzyma wstrząśnienia.

— Balon wlecz torbę — zauważył Ford — patrz pan, jak rama pruje fale; posuwamy się z wiatrem z szybkością dwóch lub trzech węzłów.

— To bagatela, kochany kapitanie; robiąc 70 kilome-

trów na dobę, nie potrzebujemy się obawiać przymusowego powrotu do Ameryki; możemy czekać na zmianę wiatru dwa dni choćby, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, dzięki nieprzenikliwości powłoki balonu.

— To stanowi jedną z głównych zalet pańskiego statku — rzekł Ford — zwyczajny balon spadłby oddawna. Jeżeli się nie mylę, to kilka aerostatów utonęło w morzu.

— W istocie, najwięcej takich wypadków zdarzyło się podczas oblężenia Paryża przez prusaków. Z sześćdziesięciu czterech balonów, wypuszczonych z tego miasta, 3 czy 4 przepadły bez wieści, prawdopodobnie w morzu. Marynarz Prinsse i żołnierz Lacaze, którzy się puścili, pierwszy 20 listopada 1870 roku o jedenastej wieczorem, drugi 27 stycznia 1871 roku o trzeciej rano, zostali uniesieni na Atlantyk i znaleźli bohaterską śmierć w jego falach. Panowie Martin i Ducaroy, wzniosłszy się wieczorem z Paryża spostrzegli nad ranem morze i cudem prawie zdołali, dobić do wysepki Belle Isle en Mer. Znakomity aeronauta Sivel, który pierwszy używał workowej kotwicy, znajdował się nieraz w tem położeniu, co i my obecnie; puszczał się on kilkakrotnie na morze; w zatoce Neapolitańskiej hamulec, podobny zupełnie do naszego, ustrzegł go od niebezpieczeństwa, jakim groził wiatr, wiejący od brzegów. Dnia 19 sierpnia 1874 roku, Sivel wznosił się balonem *Zenit* w Kopenhadze przy północno-zachodnim wietrze, spodziewając się przelecieć przez cieśninę do Szwecji. Na połowie drogi wiatr wykręcił się jednak ku północy; Sivel, nie chcąc narażać swych towarzyszy na ryzykowną podróż, rzucił workową kotwicę i, zawieszony o 100 metrów ponad morzem, przez całą godzinę oczekiwał, aż przybędą mu z pomocą wysłane umyślnie z brzegu statki.

— Jak długo zatrzymamy się tutaj?

— Najdłużej dobę, kapitanie; mamy bowiem do rozpatrzenia niewiele czasu, a kto wie, co się jeszcze zdarzy.

Dzems nie miał nic przeciw takiemu przystankowi; jako prawdziwy marynarz, czuł się on najlepiej wśród szumu fal, na kołyszącym się pomoście.

— Tym razem będziemy jedli obiad zupełnie jak na zwyczajnym okręcie — rzekł — pełnych kubków nie można stawiać na stole, co mi się zawsze najlepiej podoba.

Jakoż przy doskonałym winie, w jakie Ford zaopatrzył roztropnie wyprawę, i przy ożywionej rozmowie, nasi żeglarze powietrzni zapomnieli niebawem o przygodzie z obłokami lodowymi. Siedzieliby zapewne dłużej w jadalni, gdyby kapitan nie spostrzegł około 5-tej kilku jasno błyszczących mass w południowej stronie horyzontu.

— To góry lodowe — rzekł, podnosząc się — widocznie w tych okolicach oceanu istnieje zimny prąd, którego naturalnie nie zauważyliśmy.

Bryły lodu zbijały się powoli do balonu, błyszcząc jak olbrzymie zlepiska kryształowe; oko odróżniało w nich fantastyczne kształty jakichś alabastrowych gotyckich wież; promienie słoneczne rzeźbiły kapryśnie ich powierzchnię. Przez lunetę Gromski dojrzał, iż nie składały się one bynajmniej, z jednej bryły, lecz miały w sobie pełno szpar i dziur.

— Powiedz mi pan — rzekł, zwracając się do Forda — jakie jest pochodzenie tych mas lodowych?

— Obecność ich dowodzi zawsze sąsiedztwa lądu, inżynierze — odparł marynarz — nigdy nie tworzą się one na oceanie. Wielki lodnik podbiegunowy, opuszczając się z wierzyn ku dołowi, w końcu dosięga brzegu morskiego; wtedy część jego, straciwszy oporę, i będąc pociągana swym własnym ciężarem, odrywa się od całości i wpada do wody. Raz taka nowoformująca się góra, o mało nie strzaskała mojej szalupy. Jeżeli w sąsiedztwie brzegu bryła nie zatrzyma się wpośród lodów, to wydestaje się na otwarty ocean i płynie na północ lub południe, niesiona zimnemi prądami. Granica, do której docierają te góry lodowe, jest często nadzwyczaj odległą od bieguna; na południowej półkuli, o ile wiadomo, można je napotkać jeszcze pod 50-tym stopniem szerokości.

— Szkoda, że na tej półkuli prądy zimne nie posiadają tego samego kierunku, co na północnej — westchnął Dzems — wtedy obszlibyśmy się bez wiatru.

— A to jakim sposobem? — zagadnął Gromski.

— Przywiązaliśmy balon do jakiej góry lodowej, płynącej na południe, i jazda! Mając taką machinę, moglibyśmy sobie żartować z przeciwnego wiatru.

— Trzeba ci przyznać, mój stary, że wpadłeś na oryginalny pomysł — rzekł Ford, uśmiechając się — z powrotem będziesz mógł z niego skorzystać, jeżeli długa podróż cię nie odstraszy. Tymczasem jednak musimy unikać spotkania z górami lodowymi, jeżeli nie chcemy, aby wciągnęły nas do wody.

Gromski był tego samego zdania; przewidział on, że balon znajdzie się na drodze olbrzymich brył lodu i nie zdoła usunąć się im z drogi.

— Musimy przeskoczyć przez te góry, jeżeli nie da się ich wyminąć — rzekł.

— Będzie to ładny skok — zauważył Ford — patrz pan, jak aerostat napręży linę; szron, który go obciążył w chmurach lodowych, stopniał już, odzyskałszy więc całą poprzednią siłę wzlotu, nie licząc już wyrzuconego balastu. W tych warunkach wzniesiemy się na pięć kilometrów, conajmniej.

Inżynier wiedział doskonale o tem wszystkim, pomimo to na jego twarzy nie znać było zakłopotania. Nie kazał nawet napełnić powietrzem wewnętrznego balonika; z zimną krwią patrzył na zbliżające się masy, których ostre szczyty, sięgające na paręset metrów, mogły za najłżejszem dotknięciem rozedrzeć powłokę balonu.

W kilkanaście minut potem, pół kilometra zaledwie dzieliło aerostat od gór lodowych; spotkanie stawało się nieuchronnem. Gromski zrozumiał, że niebezpiecznie byłoby zwlekać dłużej z wyminięciem przeszkody; pochwylił więc za sznur, przytwierdzony do dna torby, i począł ostrożnie wywracać ją na drugą stronę. Wylewana powoli woda zmniejszała coraz bardziej wagę worka; to też niebawem balon dzwignął go, i ciężko, jak orzeł z grubą zdobyczą, wleciał nad lodowe urwisko.

Stało się to w sam czas; chwilka opóźnienia, a kotwica zaplątałaby się wśród załamów najbliższej góry.

Balon, przesunawszy się ponad przeszkodami, pędził szybko z południowo-zachodnim wiatrem; niebawem jednak, połknawszy kilka metrów sześciennych powietrza, które tłoczył do jego wnętrza inżynier, dotknął kotwicą powierzchni oceanu.

Nasi żeglarze spostrzegali niejednokrotnie potem góry lodowe; miały one wszakże balon zdaleka, nie grożąc mu żadnem niebezpieczeństwem. Za to inżyniera niepokoiła stałość wiatru. O drugiej popołudniu, dnia 31, upłynęła doba od przygody w lodowych obłokach; roztropność nie pozwalała oczekiwać długo, tembardziej, iż aerostat widocznie tracił gaz; balon wewnętrzny musiał być prawie zupełnie wypróżniony, gdyż inaczej siła wzlotu nikła, i aerostat zniżał się tak bardzo do powierzchni oceanu, że fale przebiegały o trzy metry zaledwie pod łódką, i nieraz pryskały pianą na jej boki; wiatr, szarpiąc powłokę, wypychał snąc z niej wodór. Wobec tego, inżynier postanowił wrócić w wyższe warstwy atmosfery, spodziewając się znaleźć tam przyjazne prądy, a w ostateczności, płynąć dalej w kierunku południowo-wschodnim.

Ford, który pojmował doskonale niebezpieczeństwo, wpływające ze straty balastu, nie sprzeciwiał się zamiarom Gromskiego.

O godzinie czwartej przeto podniesiono workową kotwicę i aerostat wznosił się do wysokości 1000 metrów.

Nasi żeglarze z pozornego ruchu gór lodowych przekonali się, iż szybkość wiatru zwiększała się ku górze. Należało szukać na nowo ciepłego prądu i powierzyć mu balon; inżynier musiał więc wyrzucić worek balastu, którego pozostawało już tylko 15 kilogramów.

Barometr wskazywał 2400 metrów, kiedy termometr oznajmił, że aerostat wchodzi w ciepłą warstwę powietrza.

Ze zmiany położenia gór lodowych, Ford z łatwością poznał, że balon na wysokości 2500 metrów skręcił nagle ku południowi i począł płynąć znacznie prędzej.

— Jesteśmy znów w cyrkularnym prądzie — rzekł — zdaje mi się jednak, że szybkość jego zmalała; robimy co najwyżej 40 węzłów.

Inżynier nie patrzył wszakże na góry lodowe; cała jego uwaga skierowana była na dziwnych kształtów obłok, który wynurzał się powoli z oceanu.

Chmura ta, błyszcząc oslepiająco w promieniach słonecznych, rozszerzała się po linii widnokregu coraz bardziej, w miarę wznoszenia się balonu i na jej tle jasnym ukazywały się drobne czarne plamki, o nieregularnych konturach.

— Ależ to ład! — zawołał nagle James.

Zelektryzowany tym wykrzyknikiem Ford, pochwycił lunetę i przekonał się, iż sternik miał rację: mniemane chmury były lądem, rozpościerającym się daleko ku wschodowi i zachodowi; doskonała prawie przezroczystość powietrza dozwalała widzieć wznoszące się na nim góry, przypruszone śniegiem; ten ostatni pokrywał zresztą i niżej położone miejsca.

— Nareszcie będziemy żeglowali ponad ziemią, kapitanie — rzekł z zadowoleniem Gromski; — prawdę mówiąc, zaczynam się obawiać sąsiedztwa oceanu; zamało mamy balastu; wątpię, czyby aerostat raz jeszcze wyszedł cało z pomiędzy chmur lodowych.

Ford z niezmierną ciekawością przypatrywał się tajemniczemu lądowi; w dzielnym kapitanie drgnęła żyłka geografa; wydobyl mapę i rozłożywszy ją na podłodze łódki, położył palec na obszernej białej przestrzeni, pozostawionej na wschód od ziemi Ludwika Filipa.

— Patrz, inżynierze, na najlepszej mapie nie oznaczono w tych okolicach żadnego śladu lądu; dotychczas niewiadomo, co leży na południowy wschód od wyspy Aleksandra. Otóż w tej chwili tajemnica wyjaśniła się: ziemia, którą mamy przed oczyma, prawdopodobnie jest najdalej ku biegunowi odsuniętym brzegiem południowego kontynentu, o istnieniu którego wielu geografów wątpi jeszcze.

— I ja cokolwiek — rzekł inżynier — wkrótce jednak wątpliwości te zostaną wyjaśnione, żeby tylko chmury nie zasłoniły nam ziemi.

Aerostat pędził z nadzwyczajną szybkością ku nieznanemu lądowi i w dwie godziny potem przeleciał ponad niewielką wysepką, otoczoną z południowej strony wysokimi górami lodowymi, przypędzonymi zapewne przez ziemny prąd biegunowy; ląd stały rozciągał się teraz przed oczami naszych żeglarzy w całej swej majestatyczności. Na prawo i na lewo biegła szeroka, kapryśnie poszarpana linia brzegu, przybrana, niby białą koronką, nieskończonym szeregiem gór lodowych. Poza nią sterczały czarne, strome, bezładnie rozrzucone skaliste wzgórki, przypruszone nietopniejącym nigdy śniegiem. Głębiej, ląd ten wznosił się łagodnie pochyłonymi ustępami, na których rozłożyły się liczne lodniki, podobne do rzek zamarzłych, spływających do oceanu.

Aerostat, przemknąwszy się, jak meteor, ponad niedostępnym wybrzeżem, szybował teraz nad dzikimi wąwozami i śnieżnymi szczytami, które z łódki przedstawiały się, jak wielkie plamy białe na szarawym tle skał. Martwe krajobrazy zmieniały się z błyskawiczną szybkością: wzgórki uciekały w pustą dal, ustępując miejsca obszernym równinom, zasianym odłamkami skał; z wysokości 2,400 metrów nasi żeglarze z łatwością dostrzegali wszystkie szczegóły i mogli bez przeszkody badać tajemnice nieznanego lądu.

Kapitan, z dziwnościem w ręku, robił dorywcze notatki i szkice ołówkiem. Gromski zaś oznaczał starannie szybkość i kierunek aerostatu.

— Płyniemy trochę bardziej ku wschodowi, aniżeli z początku podróży, panie Ford — rzekł — fakt to wcale nie pocieszający; ciekawym niezmiernie, dokąd zaniesie nas ten dziwny wiatr!

— W każdym razie do bieguna — wtrącił sternik, któremu imponowała nadzwyczaj szybkość aerostatu; — pamięta pan naszą ostatnią podróż, kapitanie? Dwa lata temu prawie wyruszyliśmy na saniach, ciągniętych przez psy, w głąb Gren-

landy — mówił dalej, zwracając się do Gromskiego; — chcieliśmy dotrzeć do północnego krańca wyspy; póki życia nie zapomnę tej wycieczki: przez miesiąc ujechaliśmy 150 kilometrów; akurat tyle, ile teraz robimy w półtorej godziny. Wkońcu z niewygód zapadliśmy na skorbut; psy nam wydychały tak, że z powrotem sami musieliśmy wlec sanie z żywnością i instrumentami; po kilka razy dziennie trzeba było przeprawiać się przez wąwozy, do połowy zasypane śniegiem, jak te tu na dole; ech, darmo chciałbym opowiedzieć to, cośmy przecierpieli; powiem tylko, że nie mogliśmy ująć więcej, jak milę angielską na dobę i że z dwudziestu zdrowych ludzi dwunastu tylko, ledwo żywych, powróciło do okrętu. A teraz... przeleatujemy nad temi przekłętymi lodami, jak mewy. Cudowny to statek: gdybyś pau wcześniej go zbudował, nie przepadłoby tyłu marynarzy na marne.

I poczciwy sternik, rozczulony smutnemi, a świeżemi jeszcze wspomnieniami, utarł głośno nos w szeroką chustkę, poczem, pochwywszy inżyniera za rękę, pocałował ją.

— Cudowny statek — powtarzał; — pan jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego widziałem w życiu.

Kapitan przerwał tę scenę, wskazując na niebie jasno zarysowane kontury jakiejś wielkiej góry, pokrytej śniegiem. Aerostat, unoszony na wschód, musiał koniecznie, albo się spotkać z nią, albo też przejść obok. Zdała trudno było oznaczyć wysokość szczytu; inżynier przypuszczał jednak, że wznosił się on, mniej więcej na 3000 metrów ponad poziomem oceanu. Ponieważ nasi żeglarze posiadali nadzwyczaj skąpo balastu, przeto góra stanowiła dla nich znaczną przeszkodę.

Gromski, zajrzawszy wewnątrz aerostatu przez umyślnie w tym celu urządzone okienko z miki, przekonał się, iż balonik, służący za rezerwoar powietrza, skurczył się zupełnie. Nie można było więc powiększyć siły wzlotu w zwykły sposób.

Inżynier miał nadzieję, iż uda mu się wyminać szczęśliwie górę bez straty trzech ostatnich worków piasku; to też bacznie i z pewnym niepokojem śledził kierunek drogi statku powietrznego. Około 6-tej wszakże spostrzegł, iż przeszkoda, zamiast usunąć się w prawo lub lewo, zajmowała coraz większą część horyzontu. Gromski powziął więc zamiar uciec się do pomocy maszyny, puścić w ruch śrubę i objechać grzącą sterczącą górę; niebawem jednak ze zdziwieniem zauważył, że szczyty, które przed kwadranscm wydawały się odległemi o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kilometrów, nagle zbliżyły się zatrważająco; aerostat pędził prosto na olbrzymie urwiska, pokryte wiecznymi lodnikami.

Należało decydować się szybko.

Właśnie inżynier chciał wyrzucić ostatnie worki balastu, gdy Ford pochwycił go za rękę.

Zdarzyło się bowiem coś dziwnego; balon, zamiast lecieć dalej na górę, poderwał się nagle; nasi żeglarze widzieli wyraźnie, jak łódka wspinała się leciuchno po stokach, wymijając niebezpieczne złomy skał; przed oczami ich przesunęły się topniejące lodniki i białe lawiny wiecznego śniegu; powoli jednak ten nieprzerwany całun zniknął; balon przelatował przez ciepłe obłoki pary wodnej, która wydobywała się z głębokich szpar w bokach góry; wśród skał bazaltowych widniały szerokie strumienie zastygłej lawy.

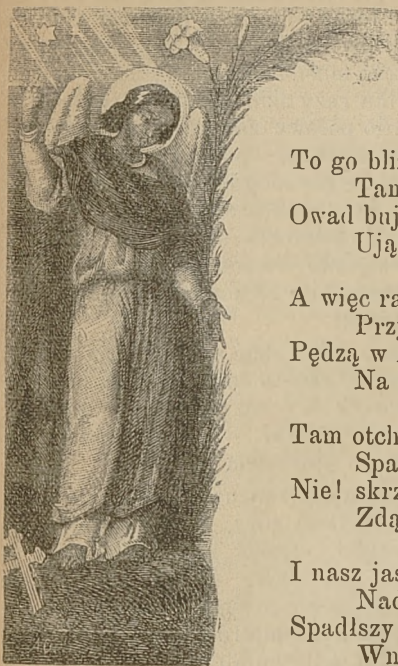
— To wulkan! — zawołał James.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, kiedy pod aerostatem rozwarła się olbrzymia, pustką zionąca paszcza krateru; ginące w tajemniczym półmroku głębie tego lejka, dymyły zlekka jakimiś oparami; nasi żeglarze uczyli odrazu zjadliwy oddech wulkanu.

— A to zapach! — rzekł Ford krzywiąc się; — zdaje mi się, że z krateru wydobywa się kwas siarkowy i siarkowodór.

Raptowne uderzenie, od którego zatrzęsła się cała łódka, przerwało kapitanowi; Gromski, który właśnie wychylił się za poręcz, został gwałtownie rzucony na rezerwoar z benzyną; James zaś o mało co nie wyleciał; szczęściem, zaciął się o linę.

ANIOL STRÓŻ.



Motyl barwny leci
Przez łączkę, przez gaj!
Biegna za nim dzieci
W krótkiej wiosny maj.

To go bliżej ściga,
Tamto kwiatki rwie;
Owad buja, miga,
Ująć nie da się!

A więc razem żwawo,
Przyśpieszając bieg,
Pędzą w lewo, w prawo
Na urwisty brzeg.

Tam otchłań przed niemi!
Spadną! giną już!
Nie! skrzydły białemi
Zdąża Anioł Stróż!

I nasz jasnopióry,
Nad przepaści stok,
Spadłszy nagle z góry,
Wnet cofa ich krok.

Dziatki! miną chwile,
Co w młodości czas,
Jak barwne motyle
W gaj, prowadzą nas.

Myślcie, gdy majowy
Rwicie jeszcze kwiat,
Że jest w dali nowy
Życia szereg świat.

Nie jak motyl wleci
Duch nasz w górny szlak,
Lecz się wzbija, świeci
Jak niebieski ptak!

Nie róże na czarną
Ziemie naszych dróg,
Lecz cnót siejąc ziarno
Zbiorów żąda Bóg!

Zbierzmy! lata biegą!
Niech wśród losu burz,
Nad przepaścią złego
Stoi Anioł Stróż!

Ewa Marya.

ZASTOSOWANIA PAPIERU.

Pisząc na papierze, nie wiemy, iż może on służyć jeszcze do wielu innych użytków, nie mających nic wspólnego z drukiem, rysunkiem, z zawijaniem towarów i t. p. czynnościami.

Znamy go też w jednej tylko postaci, jako arkusze grubsze lub cieńsze, stosownie do tego, jakiemu z wyżej wymienionych celów mają służyć. W ostatniej dobie wszakże technika zwróciła baczną uwagę na ten materiał. Przekonano się, że papier, poddany silnemu ciśnieniu w prasie hydraulicznej, nabiera nadzwyczajnej trwałości, nie ustępując pod tym względem kamieniowi a nawet żelazu; posiada on w takim stanie budowę zupełnie prawie jednolitą, jest bardzo złym przewodnikiem ciepła, dobrze znosi wilgoć i ogień, zwłaszcza, jeżeli nasycić go roztworami pewnych soli; daje

się obrabiać na tokarni, zupełnie tak jak metal, a ma wytrzymałość równą tym ostatnim.

To też dziś papier używa się do takich celów, o zastosowaniu go do których nikt nie myślał jeszcze niedawno.

Wyrabiają z niego bardzo trwałe koła do wagonów, które nie psują się prędzej, od żelaznych; wiele naczyń kuchennych, subtelne koronki, mocne i piękne; łodzie, daleko pozostawiające za sobą zwykle drewniane, płyty na posadzki, nie które części mebli i t. d.

Niedawno nawet w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych zastosowano papier do budowania domów. Do tego celu używa się dość grubych długich na kilka stóp, a szerokich na 2—3 płyt z nieprzemakalnej masy, ścisłanej w prasie.

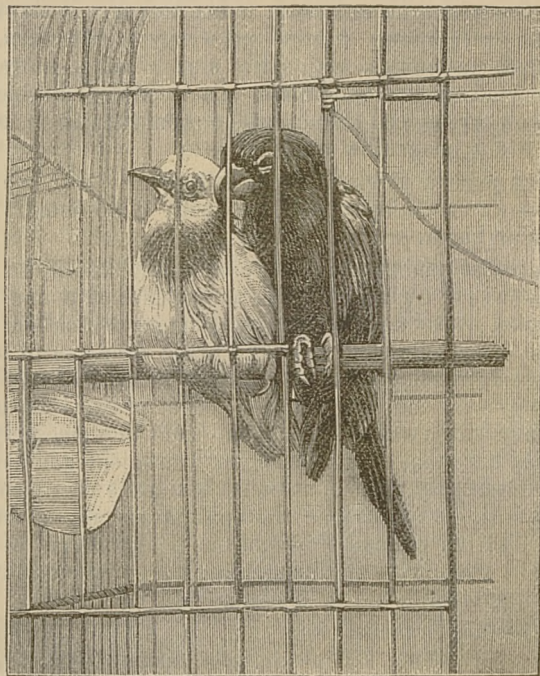
Budynki postawione z masy papierowej są nadzwyczaj ciepłe, głyż, jak powiedzieliśmy, materiał ten stanowi zły przewodnik ciepła, a nadto, mieszkańcom ich nie grozi pożar co chyba jest rzeczą bardzo ważną.

Zwykły papier w arkuszach, jak wiadomo, pali się łatwo; tektura grubsza — już trudniej; książki zaś, zwłaszcza ściśniętej, prawie wcale nie chce wziąć ogień. Jeżeli jeszcze masę papierową nasycimy chlorkiem cynku, wtedy staje się ona ogniotrwałą prawie; zwęgli się raczej aniżeli zaplonie.

Zastosowania papieru prasowanego mnożą się z dniem każdym; nie mogliśmy nawet wspomnieć tutaj o wszystkich.

Przypomnieć należy, iż nowy materiał zastąpi z czasem zupełnie drzewo, (które na zachodzie zwłaszcza, staje się coraz droższem) a w niektórych razach nawet metale.

Wł. U.



PRZYJAŻŃ U PTAKÓW.

W ptasim świecie spotyka się nieraz z objawami instynktu towarzyskości, który każe tym skrzydlatym stworzeniom nie tylko razem wyruszać jesienią pod cieplejsze nieba, lecz i żyć razem gromadnie przez rok cały. Rzadko jednak zdarza się widzieć dwa, różnego gatunku ptaki, któreby łączyła prawdziwa przyjaźń, które szukałyby się nawzajem i oddawały sobie drobne przysługi.

I to jednak bywa. Na załączonej rycinie widzimy dwa ptaki: jednym z nich jest papużka brazylijska, drugim chiński, świegotliwy Grakupil z rodziny śpiewających. Ptaki te zamknięte w ptaszarni, dzień cały razem spędzają, razem wybierają sobie pożywienie, fruwają jeden za drugim wzajemnie gładzą i czyszczą sobie piórka, jeśli papużka spocznie

na szczeblu, wnet ku niej dąży jej towarzysz. Ten ostatni, udaje się nieraz bawić swego przyjaciela, gwizdząc, strosząc pióra i przekręcając przytem komicznie główkę. Nie zauważono dotąd sprzeczki między tą nierozłączoną od lat kilku parą przyjaciół.

Czyż przyjaźń tych dwóch ptaków tak różnych z punktu widzenia ornitologa, nie mogłyby posłużyć za przykład ludziom?

KORDUBA.

Zmienne bywają koleje losu, zarówno ludzi jak miejscowości; o wielu z tych, co stali niegdyś na szczycie wielkości, mało kto wie później, a rozgłośniej niegdyś używające sławy

ła przez Maurów; zrazu kalifowie jej ulegali kalifom mieszkającym w Arabii, lecz Abdel Rahman I ogłosił się niezależnym monarchą, obrał za stolicę swego państwa Kordubę i urządził ją z przepychem, który podziw ogólny budził: sprowadził z Arabii do Korduby palmowe drzewa, kazał wznieść w mieście wspaniałą meczet, pobudował kanały i mosty. Ze wszystkich tych dzieł najslawniejszym był meczet i zdobyło go 1,400 marmurowych kolumn, 19 wież i 19 bram; 4,700 lamp gorzało w nim noc i dzień. Meczet ten istnieje jeszcze, lecz obecnie jest świątynią chrześcijańską. Po wypędzeniu Arabów, Hiszpanie w miejscu półksiężycy zatknęli na nim krzyż, godło wiary. Abdel Rahman III, który objął władzę roku 912, wznosił w Kordubie pyszny pałac, zwany „Azzechra”, dach tego pałacu był ozdobiony mozaiką a sufit złotem i perłami, w wielkiej zaś sali, w której kalif gości przyjmował, biła fontanna, basen jej drogiemi kamieniami był ozdobiony.



K O R D U B A .

grody, dziś pokrywa pył zapomnienia. Do takich miast liczy się Korduba zwana także Kordową, która leży w Hiszpanii nad rzeką Gwadalkwiwrem, o 35 mil od Madrytu, stolicy państwa. Wśród pierwszorzędnych miast Europy zajmuje ona bardzo podrzędne stanowisko, jest siedliskiem biskupa, posiada kilka szkół początkowych i wiele bardzo zakładów dobroczynnych, jest miastem stołecznem jednej z prowincji Hiszpanii, lecz w porównaniu z pierwszorzędnymi grodami Europy jest obecnie nic nie znaczącą miejscowością, posiada kilka tylko jeszcze pamiątek, a jednakże podania o jej przeszłości zapisane w starych księgach mówią, że przeszłość ta piękną i wspaniałą była.

Korduba istniała jeszcze za czasów rzymian, tu się urodził sławny filozof rzymski Seneka, nauczyciel okrutnego Nerona. Najświetniejszymi wszakże czasy dla miasta tego były rządy Arabów, a mianowicie panowania kalifów Abdel Rahmana I-go i II-go.

W ósmym wieku, jak wiemy, Hiszpania zdobyta zosta-

otaczały ją zwierzęta ze złota ulane. Pałac ten istnieje jeszcze, lecz ciężkie chwile, jakie przeszła Korduba zmieniły go wiele: przerobiony na zakład stadniny królewskiej zaledwie przypomina świetne czasy kalifów. Korduba ludna, rozległa, bogata była wtedy ogniskiem oświaty, światło nauki rozszerzała dokoła. Była tu niegdyś biblioteka zawierająca 600,000 cennych rękopismów. Do pamiątek z przeszłości, które po Arabach pozostały, liczy się też piękny most kamienny na Gwadalkwirze.

Roku 976 zasiadł na tronie w Kordubie kalif Almanzar; chciwy i okrutny chciał on jeszcze dalej rozszerzyć granice swego państwa; zmówili się przeto przeciw niemu królowie chrześcijańscy i wspólnemi siłami nań uderzyli; nad rzeką Duero pobity Almanzar, rannym został ciężko i umarł wkrótce z tej rany. Kalifat jego rozdzielił się wtedy na kilka części, Korduba straciła znaczenie pierwszorzędnego miasta, a gdy Maurowie zostali wygnani z Hiszpanii upadła zupełnie. Wojny, które Hiszpanie toczyli z Maurami, a następnie trzęsienia

ziemi zniszczyły wiele wspaniałych jej gmachów; dziś jest to miasto brudne, zaniedbane, liczy wprawdzie 57,000 ludności i jest rozległe, lecz znaczenie jego podrzędne.

Teresa Jadwiga.

Z ŻYCIA WIELKIEGO ARTYSTY.

Podczas cichej majowej nocy, tak uroczej zawsze pod włoskiem niebem, główną aleją parku niezbyt odległego od miasta Lukki, toczyły się długim szeregiem powozy, w stronę gdzie ponad kępami drzew, górował piękny pałac, jaśniejący zdaleka tysiącem różnobarwnych świateł.

Objechawszy rozległy trawnik, powozy zatrzymywały się kolejno u szerokich schodów przedsionka; jak widać było wysiadali z nich poważni dostojnicy różnych państw, wyższego stopnia wojskowi, oraz liczne grono kobiet w wytwornym balowym stroju.

Nie bal jednakże wyłącznie sprowadzał tam gości.

Olbrzymi talent włoskiego skrzypka Paganiniego zaciekawiał niezmiernie znawców muzyki, a Eliza Bacciochi, wówczas księżna Lukki, siostra Napoleona I, chcąc się pochłubić w świetnym zebraniu przybyłych Francuzów grą znakomitą dyrektora swej orkiestry, urządziła w swej willi bal i koncert, w którym jej ulubieniec miał zyskać rozgłośniejszą jeżdżącą sławę.

Ale gdzie wschodzą blaski, tam i cień pada. Tym cieniem każdej wyższości może być nasza pycha, lub niska zawziętość drugich, czasem bardzo szkodliwa. Złe uczucie zazdrości, pełne tajemnej goryczy i niechęci, wiele innych szlachetnych w sercu przytłumić zdoła, wielu nieszczęść i krzywd bliźniego bywa przyczyną.

Zdarza się jednak często, że usiłując szkodzić drugim, zazdrośnik sam ponosi karę.

Podobny przykład nastęrcza nam fakt, z życia Paganiniego który tu opowiedzieć zamierzamy. Na godzinę przed zapowiedzianym przez ks. Elizę koncertem, po wąskiej bocznej w parku ścieżce przechadzał się jakiś człowiek, okryty obszernym płaszczem. Unikał on widocznie miejsc oświeconych promieniami księżycy, bo przesuwiał się przez nie żywo, coraz to niżej ściągając już dostatecznie nasunięty na czoło kapeluszy, z pod którego szerokich skrzydeł rzucał badawcze nakoło spojrzenia. Lekki szmer zwrócił jego uwagę, zatrzymał się więc nad słuchując.

Próżne oczekiwanie! To wiatr zaszumił w gęstych liściach jaworu; a przytem, gwar daleki miasta mógł zagłuszyć odgłos ostrożnych kroków. Nieznajomy rozpoczął znowu przechadzkę.

Jakaś tajemnicza, uporna myśl udrećcać go lub gniewać musiała, wprawiając jego ręce i nogi w ruch ustawiczny, bo przestępował z miejsca na drugą nogę, to szedł i wnet powracał.

Nagle zatrzymał się. Na ścieżce mignął cień, przesunęła się postać ludzka.

Fobieł w jej ślady, postać uszła mu dalej, pomknęła w gąszcz i znikła.

— To on! — mruknął — to on! ten czart wcielony!... Zdaje się, że coś niósł... Pewno te przeklęte skrzypce.

Stanął zdyszany, postać przesunęła się bliżej, znikając prawie jednocześnie w zaroślach.

— Czyżbyr się mylił? — poszepnął. — A może to kto inny?... Tak, tak, z pewnością! — Nie wracałby zemknąwszy. Ale te skrzypce?... Przywidzenie! Czekajmy.

Zarzucił płaszcz na ramię, groźnie wstrząsając ściśnioną pięścią.

— Przepadnij, ty lichy grajku! pozbawiasz mnie nawet snu! — pomruknął.

W nowych rozmyślach obiegał dalej swoje chyże zawrotne koło.

— Skąd wziął te skrzypce jestem ciekawy; bo to w nich jego moc. Ach, to małe, to dźwięcznie nucące drewno! gdy bym ja takie miał! Nie, podobnych nie znajdzie nikt we Włoszech, choćby nawet ich szukał sto, tysiąc lat! Jego na owych zakłętych strunach sam Lucyfer chyba grać uczył!

No, nie będziesz dziś na nich grał!... nie padną ci u nóg wieńce!... Dość miałeś róż i wawrzynów! Nie dlinij się ty pyszałku!... Chcesz zaćmić wszystkie gwiazdy! zagasić je na widnokręgu sztuki!... Zgin lepiej, zgaśnij sam! Nie wlatuj mi za wysoko! i nie lśnij!... bo, jakim Geronimo! osiągnę cię, zepchnę cię w cień!

Zjawił się istotnie cień, lecz postać, rzucająca go na ścieżkę, zginęła jak poprzednio.

— Nakoniec! — mruknął znów Geronimo. — Teraz się już nie myślę! Darmo krążysz jako lis, zabiegnę ja ci drogę! Prędkiej więc!... Ty w bok, a ja wprost! Zobaczmy kto dojdzie pierwszy.

I łamiąc niskie krzewy, biegł prosto jak szalony. W tem zetknął się z kimś, pochwycił go oburącz i padł z nim wraz na ziemię.

— Do pioruna! mam go! — krzyknął leżąc i ciągnąc towarzysza upadku.

— Dość! — ozwał się głos młodzieńczy, puść mnie! nie duś, mistrzu.

— To ty, Andreo?... Bodajże cię grom spalił! A ja myślałem że... że to on!

Powstali obaj zdziwieni.

— Co to znaczy? — pytał Andreo. — Nie mogę przyjść do siebie.

— Co znaczy? — wykrzyknął zapytany. To, że ścigałem tego... tego szatana!

— Któż cię obraził, mój kochany mistrzu?

— Nikt! lecz nie cierpię go, nie nawidzę!

— Nie cierpisz i nie nawidzisz?

— Radbym struć! utopić w kropli wody!

— Struć? — powtarzał za nim Andreo przeciągle.

— Eh! tak się mówi! Opanował mnie gniew! Nie lękaj się! nie będę zbrodniarzem.

— O cóż więc chodzi?

— Sam nie wiem. O nic i o wszystko.

— Nic nie rozumiem. Jest to zagadka dość trudna — rzekł Andreo.

— Dowiedz się zatem!... bo, drogi chłopcze, ufam ci najzupełniej. Może kiedyś w późniejszym wieku, z uczuciem słusznej dumy, doznasz okropnych, podobnych moim udrećceń ducha.

Mam duszę artysty. Nie lubię być ostatnim! Dzisiaj zatarła się moja sława... zapominają o mnie Włosi. Czy to się godzi?... czy to nie boli? Co za czarna, brzydka niewdzięczność.

Jesteś moim uczniem i krewnym, otwarcie ci przeto wyznam, że opętał mnie dziwny, niepojęty szal nienawiści.

— Nic nie wierzę temu, przesadzasz! Słucham cię jednak, mój kochany mistrzu.

— Wszak znasz Paganiniego?... Tego sławnego, cudownego muzyka?... tego... tego... No, odpowiadaj.

— Czy znam?! — wykrzyknął na to Andreo, tego — niezrównanego skrzypka, tego mistrza nad mistrzami! Któżby go nie znał, nie wysławiał we Włoszech, gdy go wielbią i sławią obcy?

— Nadto zachwyty! Wolno ci zagrać tak jak on.

— O gdybym kiedy mógł mu dorównać! gdybym choć w cząstce miał jego geniusz! Jakżeby się radował mój biedny ojciec, który tak pragnie ujrzeć we mnie artystę!

— Zabawny! — zaśmiał się Geronimo — żąda jedynie grać dla ojca!

— Wstydź się mistrzu! — odrzekł Andreo — szydzisz z najdroższych uczuć!

— A, grajże sobie, kiedy chcesz i daj mi spokój!

Chłopiec odrzucił bujne włosy, podnosząc głowę nagle z wyrazem dumy, lecz ją po chwili rozwagi schylił mówiąc łagodnie:

— Uniosłem się nieco, daruj mistrzu i racz mnie także, im zrozumiesz, wysłuchać.

— Nie lubię próżnych zachwyków.

— Wytlomaczyć się też z nich muszę, może poznawszy ich źródło, nie będziesz tak surowy.

Jestem ubogi, sztuka mym skarbem, całą kiedyś podawać mi powinna. Talent poparty pracą jest majątkiem. Zawsze on niezależność; pamiętam zawsze o tem.

Ale kochając sztukę, dziwaczne o niej mam zapewne pojęcia.

Nie dla sławy chcę być artystą, nie dla wieńców, okrzyków tłumu. Ja żądam grać dla siebie, dla tych których kocham; grać, nawet stojąc kędyś samotny, przy huku lawalnic, szumu wiatrów lub ciszy świata; grać, choćby zawsze ukryty w cieniu, dla skalnych gór, dolin kwiecistych, źródeł, drzew, traw mojej ziemi... i chwytając jej znane głosy, niosąc je dalej, wyżej, uderzyć w struny i nucić hymn... pieśń wielką między ziemią i niebem...

Umilkł po tych słowach Andreo, wpadając w zamyślenie.

Promienny błysk żywszego światła przeciął gęstwinę drzew, muskając w cieniach pogodne czoło i rozmarzoną twarz chłopca; cichy szelest miękkich wstrząsanych liści szeptał mu ponad głowę. Ta wielka, święta pieśń jego duszy zdawała się wiać w przestrzeniach.

— Poeta, muzyk! podwójny talent! — szyderczo ozwał się Geronimo.

— Grać dla sztuki, przez nią się uzacniać, to najwyższy cel artysty! — dodał Andreo.

— Brawo! — zawołał klasnąwszy mistrz, rozdrażniony zapalem dawnego ucznia. Wykierowałem cię na grajka, lecz teraz widzę że to za mało. Rznąć po strunach dla traw i drzew nauczy cię Paganini.

— Ach, Paganini! Paganini! Wpadam w gorączkę na to imię! Mieć go za kierownika! Co za myśl! Nie przyszła mi do głowy! Pójdę go prosić!... może wyblagam upragnione wskazówki, jak mi to sam zalecasz. On mnie rozumie, on nie odepchnie. Mówią że jest szlachetny.

— Niegodziwiec! — wybuchnął Geronimo.

— Zaprzeczam temu.

— Skąpiec! łotr!

Andreo zmierzył swego nauczyciela zaiskrzonym od gniewu okiem.

— Któż rozpowiada o nim te brednie? — zapytał nieco głośnie.

— Kto? wszyscy w mieście! oprócz takich jak ty, ma się rozumieć.

— Pewno żebrzący utracjusze, próżniacy, którzy darmo do drzwi jego szturmują.

— Niepośledni masz dar wymowy! To trzeci piękny talent!

— Nie obrażaj się, drogi mistrzu, że nie mogę podzielać twoich uprzedzeń. Potępiasz bezzasadnie, gdy ja się czuję dziś tak bardzo szczęśliwym, że będę grał w koncercie i słyszał Paganiniego.

— Milcz! — przerwał mu Geronimo, chwytając go za kołnierz i trzęsąc nim zawzięcie; — milcz! niech przepadnie to wrogie imię!

— Puść mię! — zawołał Andreo. — Mimo to Paganini...

— Ja twój mistrz!... nie przywódź mnie do wściekłości! — tupnąwszy głośnie krzyknął Geronimo.

Uczeń wysunął się z jego rąk, przyprowadzając do porządku swój przekrzywiony i zmięty kołnierz, poczem, nie dawszy już słowa, odchodził śpiesznie.

— Stój! — krzyknął popędliwy mistrz, zatrzymując go na ścieżce. — Nie bądźże taką zapalką. Hamuj tę włoską żywość. Zbyt mało okazujesz mi względów, do których jako mistrz i opiekun mam słusne poniekąd prawo. Trudno jednakże mówić rozsądnie z podobnym jak ty zapaleńcem.

Już mi to cięży! Porozumiejmy się choć raz! Odetchnął, poczem dodał spokojniej, dłoń opierając na ramieniu młodzieńca:

— Dziwak jesteś, dziwak ogromny! POCO te wszystkie dąsy? Wiesz dobrze ile cię kocham, jak cenię twoje zalety. Mógłbym tylko pominąć wdzięczność, albo jej nie dostrzegam. Byłeś zdolnym, pojętym uczniem w mojej znanej powszechnie szkole, a dziś władasz najdzielniej smyczkiem w orkiestrze wielkiej opery, której mam zaszczyt być dyrektorem. Sława ucznia jest sławą mistrza. Komuż winienes swoje? Masz dość rozumu i serca, abyś me trudy uznać, ocenić zdołał. Z tem wszystkiem, obok dobrych przymiotów, odznaczasz się zarazem niepomierną, szkodliwą bardzo dla twej przyszłości wadą.

— Jeżeli nieszlachetna, pozbędę się jej zaraz.

Geronimo ściągnął brwi, gniew uśmierzony wzbierał jak fala w zawistnem jego sercu.

— Nie zdobędziesz nigdy nic! — krzyknął wstrząsając groźnie ręką. — Nie posiadasz tej śmiałej, upornej dumy, która przebojem prawie zdobywa szczyt! Co żąda stanąć na najwyższymi, w całym blasku wielkości, sławy! Wznosząc drugich, niżysz się sam. Jesteś za skromny.

— Z tego zdania możnaby wnosić, że chcąc osiągnąć owego szczytu, zepchnąć potrzeba innych.

— A choćby tak!... cóż stąd, młokosie? — rzekł mistrz ponuro.

— Idź na ów górny szczyt mistrzu!... ja lękam się zawrotu.

— Lękasz się rozbić i potłuc w dole? Zwichnałeś prędko lotne skrzydła, poeto!

— Bynajmniej! — odrzekł Andreo — inaczej tylko pojmuję szczyt i wielkość.

— Nadstawiam ucho — żartował mistrz.

— Uwielbiam ją zarówno w sztuce, jak w myślach, czynach zacnych; lecz droga do niej wydaje mi się lepszą, niż ta jaką mi wskazywałeś. Zamiast innych psuchać ze szczytu, chcę dojść i stanąć obok. Duma taka jest najszczytniejszą i dozwoloną wszystkim, bo wzniosłą.

Wzniesić się należy z myślą czystą, w swojej prostocie jak i w dążnościach wielką.

Być artystą, wdzierać się kędyś na szczyt, znaczy pojmować równie i ducha wielkość.

— Jesteś głupcem największym ze wszystkich głupców w świecie!

— Niechże tak będzie! nie mam się za mądrego. Nazwa po części słuszna, bo dziś zrozumieć nawet nie mogę, czego żądasz odemnie.

— Posłuchaj — ozwał się Geronimo — ceniłem cię, powtarzam. Twój talent podnosił moję sławę, którą zaćmił, zniweczył ten... ten człowiek! Byłem dawniej najpierwszym w Lucce, obecnie wszędzie on! To istne czary! Przysięgnąć mógłbym, że zły duch prowadzi jego rękę!

— Baśń oczywista. Jakże można przysięgać fałszywie? — rzekł Andreo.

— Nie przerywaj niezdolny chłopcze! Natychmiast ci dowiodę! Dzieciak jakiś! on mnie będzie nauczał!... A czy patrzyłeś nań kiedy gra? Kiedy ledwie dotyka strun?... Oczy mu świecą, twarz blednie, płonie a smyczek biega, lata!...

Pietro i Masso utrzymywali kiedyś, że słyszą w tej grze pieśń czarodziejską, odgłosy burzy, śpiew ptaków swary i śmiech piekielny.

— Chcieli może wyrazić — mówił Andreo — że gra jego jest mową duszy, pełną czaru, śpiewną wyższą harmonią i jakby echem złączonych ziemskich głosów.

Burza i piekło, jak im się zdało, to uczuć gniewnych, zawichrzonych obrazy, tylko że za barwy do nich artysta używa tonów. Nie dziw się przeto. Sąd i wrażenia Massa i Pietra są najlepszą oceną talentu mistrza.

— Kłamstwo! — zawołał trzęsąc się Geronimo. — Szatan, powtarzam, wyprawia owe sztuki! Ale ja go pochwycę, ja go zażegnam! Popamięta on dzisiejszą noc!

— Domyślam się! Na niego czatowałeś.

— No, nie inaczej! Warto polować na takiego jak ten zwierza!

— W tym gąszczu ukryty, czyhałem dziś jak wilk na upatrzoną zdobycz. On miał tędy przechodzić! niosąc te swoje przesławne skrzypki, śpiewające mu na rozkaz. Powziąłem zamiar obalić grajka i porwać je.

— Napaść w książęcym parku! To straszna odpowiedzialność.

— Co ty wiesz!... prawisz jak mentor. Byłbym je oddał jutro.

— Na cóż porywać, ażeby zwracać?

— Na to, by nie grał w tym koncercie, nie dał się jak paw, nie okrył większą sławą.

Andreo patrzył na mówiącego, szukając odpowiedzi. Przy jasnym drżącym świetle księżycy uderzył go nieznany okrutny wyraz, jakim zazdrość natchnęła twarz jego mistrza.

— Ale wracając do rzeczy — podjął znów Geromino — odgadłeś; ciebie za niego wzięłem.

— Dziękuję — rzekł Andreo z uśmiechem — i o mało mię nie udusiłeś.

— On temu winien! — zawołał mistrz. — Przeszedł i zniknął jak cień.

— Bardzo wątpię — odparł Andreo. — Nie on to wcale przeszedł.

— Spotkałeś go?... prędzej-że! mów! gdzie? kiedy?

— Nie widziałem go dziś.

— To szczęście! mam zatem czas! Chęć miłego spotkania się — dodał szyderczo — ciągnęła mnie do parku. Nie przyszedł jeszcze... A ty gdzie idziesz? Do pałacu? Może się śpieszysz?

— Przeciwnie, używałem przechadzki.

— Z jakiegoż powodu?

— Wszyscy, należący dziś do orkiestry, złożywszy instrumenta w dolnej sali pałacu, wyszli na przechadzkę do parku, gdyż z powodów nieprzewidzianych, koncert ma się rozpocząć dopiero za pół godziny.

(d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Srebrny medal ratunkowy udzieliło „Royal humane society” w Londynie, ośmioletniemu Frankowi Lines, który 28-go grudnia uratował od utopienia towarzysza swego, nazwiskiem Cochran. Ślizgał on się wraz z kilku innymi chłopcami, naraz o kilka łokci od wybrzeża lód się załamał; Cochran wpadł do wody i, trzymając się kry lodowej, wołał o ratunek. Inni chłopcy uciekli, tylko mały Lines podążył do tonącego, podał mu kij i wyciągnął towarzysza z wody.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE w N-rze 8.

Rekin, dochodzący do 20 stóp długości. Wieloryb, jak wiadomo, jest zwierzęciem ssącym.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Zagadki: A v e!

KWIATEK.

Chodząc po gaju w samotnem dumaniu,
Nie dbając oto, co w umysł się tłoczy,
Zoczyłem naraz kwiat w pięknem ubraniu,
W cieniu — powabny, jak gwiazdy, jak oczy!
Chciałem go zerwać, lecz on mi rzekł mile:
„Czym ja stworzony na tak krótką chwilę?”
Dla tego wzięłem go z miejsca onego,
I przesadziłem do ogródka mego.
A tu przy domku i przy moim boku
Rośnie i kwitnie od roku do roku.

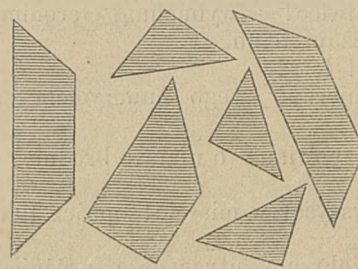
Stan. Juchowicz.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsze, drugie imionom w mowie towarzyszy;
Wspak trzecie płynie wartko po hiszpańskiej ziemi;
Wszystko miasto, gdzie myśląc żył w domowej ciszy
Mistrz mistrzów, zanim słowy nauczał świętymi.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Podane na rysunku rozrzucone części, wyciąć z tektury i ułożyć z nich figurę w kształcie krzyża.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurowisko Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego (z drzew.) — Anioł stróż, wiersz p. Ewę Maryę. — Zastosowanie papieru. — Przyjaźń u ptaków (z drzew.) — Korduba (z drzew.) — Z życia wielkiego artysty. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Podwieczorek u Toni i Ignasia (z drzeworytami) — Żale Stefanka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Bajka o białym mężu i czarnej żonie, p. Antoszkę. — Odwaga i zuchwalstwo, p. M. P. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



...Ignas oparty na jej kolanach, słuchał z uwagą...

Podwieczorek u Toni i Ignasia.

Tonia wchodząc powoli po schodach, powtarzała sobie półgłosem usłyszane przed chwilą zdanie: „Chcąc aby się zabawa udała, trzeba ją czemś urozmaicić i ułożyć najpierw program, to znaczy postanowić w jaki sposób mają się goście bawić, tak mówił tata do mamusi, a więc prawdą być to musiało.

Ale dla czego Tonia rozmyślała nad tem? Miała potemu poważne powody. Jutro spodziewała się gości na podwieczorek, cztery dziewczynki jej rówieśnice i czterech chłopczyków, przyjaciół jej braciszka Ignasia było zaproszonych, nie licząc jeszcze czterech lalek, z którymi troskliwie małe mamy nie lubiły się rozstawać.

Tonia już kilkakrotnie wzywała Ignasia do narady, w jaki sposób będą goście zabawiali. Ignas zastanawiał



Podnieś wyżej, zawołał Ignas.

Dodatek do N. 11, 1892 r.

się nad tem poważnie, ale nie mogąc wymyślić nic nowego, zakończył naradę mówiąc:

— Nie mamy się czem martwić, będzie czekolada, ciastka, krem, to się nikt i nudzić nie może.

Bo Ignas lubił dobre rzeczy i był przekonany, że chociażby było czternastu chłopców i tyleż dziewczynek, bawiliby się doskonale, mając obfitość kremu i ciastek. Ale Tonia innego była zdania i uważała że jeszcze czemś innem gości trzeba zabawić. Różne plany snuły jej się po główce, gdy wchodziła do dziecinnego pokoju, aby raz jeszcze pomówić z Ignasiem.

Ignas na srodku pokoju zajęty był bardzo ustawianiem wojska. Podłoga miała przedstawiać morze, książki porozrzucane w kilku miejscach statki wojenne, na których rozstawieni żołnierze zaciętą z sobą prowadzili walkę za pomocą piłek rzuconych przez Ignasia, to w jeden to w drugi statek, a które tu zastępowały kule armatnie. Ignas nie miał ochoty aby mu przerywano.



...wraz z obręczą, padł jak długi na podłogę!

— Ignasiu — wchodząc zawołała Tonia, jutro mamy mieć gości, a chcąc aby się zabawa udała, trzeba ją czemś urozmaicić i ułożyć program.

— Sześciu rannych, jeden zabity — wołał Ignas z zapalem — a między nimi kapitan statku.

— Ignasiu — uroczystą przybierając minkę, mówiła dalej Tonia — więc nie chcesz aby nam się zabawa udała?

— Pif, paf! Nie bój się, będzie krem. Bum, bum, bum! — krzyczał dalej Ignas.

Tonia pociągnęła go za ramię.

— Chodź, musimy się rozmówić, wymyśliłam nową zabawę, bardzo zajmującą.

Ignasia zdołała przekonać ta ostatnia obietnica. Każda zabawa którą Tonia wymyśliła, była zawsze wesołą, chociaż nieraz kończyła się połajaniem od bony, a czasem nawet i od mamy.

— I cóż to takiego? — zapytał zaciekawiony.

— Cyrk — z miną tajemniczą odpowiedziała Tonia

— Czy ty to mówisz naprawdę?

Tonia usiadła na krześle, a Ignas oparłszy łokcie na jej kolanach, słuchał z uwagą.

— Musimy najprzód napisać program — mówiła Tonia, robiąc taki sam ruch ręką, jak tata gdy mówił do mamy o dużym wieczorze, który miał się odbyć za parę tygodni.

Ignas się zadziwił, chociaż nie zupełnie rozumiał o co rzecz idzie.

— A więc najprzód napiszemy, że podwieczorek będzie o 4-tej.

— Pewno przyjdą wcześniej, żeby się nie spóźnić — wtrącił Ignas — bo muszą się domyślać, że będzie krem i czekolada.

— To już mniejsza — odpowiedziała Tonia — przed podwieczorkiem nie możemy zacząć się hawić, a więc najprzód trzeba napisać: godzina 4 podwieczorek, i z wielkim wysiłkiem drukowanymi literami zaczęła wypisywać na kawałku papieru.

Ignas przypatrywał jej się cichutko.

— Po podwieczorku, przedstawienie w cyrku.

— Ale czy się mamusia zgodzi na cyrk? — wtrącił Ignas — przecież tutaj za mało miejsca na te wszystkie konie, na tych kłownów, których w prawdziwym cyrku widzieliśmy w zeszłym tygodniu. Tonia wybuchnęła śmiechem.

— Jakiś ty zabawny! przecież to my sami będziemy pokazywali te sztuki, które tam widzieliśmy?

Ignas jeszcze z większym zdziwieniem zaczął słuchać Toni, która mówiła dalej:

— Poprosimy aby wszyscy usiedli rzędem na około pokoju, i zaczniemy pokazywać różne rzeczy. Musimy się zaraz naradzić nad temi sztukami.

— Ma się rozumieć że będziemy skakali przez obręcz — zauważył Ignas.

— A jakże, będziemy także stawiać sobie na głowie różne przedmioty, a może nawet chodzić po sznurze, jak to pamiętam ten chłopiec w cyrku. I Tonia pisała dalej swój program.

A szło jej to z niemałą trudnością, bo bardzo niedawno zaczęła się dopiero uczyć pisać, nareszcie program był gotowy, i chociaż nie każdemu udałoby się z łatwością go odczytać, nasza parka była z niego zupełnie zadowolona. Był on mniej więcej taki:

1. Podwieczorek o godzinie 4-tej.
2. Skakanie przez obręcz.
3. Noszenie dzbanka na głowie.
4. Chodzenie po sznurze.

— To się dopiero zabawią — rzekł Ignas.

— No a teraz zaczniemy próbować — wtrąciła Tonia — ponieważ nie mamy konia, ty będziesz skakał przez obręcz, a ja ją będę trzymała.

— To za łatwe, możebyś lepiej stanęła na krześle, a jabyśmy skakał z drugiego?

— Możeby to było i dobrze, ale bonusia nie pozwała nam nigdy wchodzić na krzesło — odrzekła z miną zakłopotaną Tonia. Poszła potem przynieść swoją dużą ładną obręcz i podniosła ją do góry.

— Podnieś wyżej — zawołał Ignas gotując się do skoku.

Tonia podniosła obręcz wyżej, Ignas skoczył, ale zaczepiwszy nogą wraz z obręczą jak długi padł na podłogę.

M. Ch.
(d. n.)

Zale Stefanka.

— Brzydkie ptaszki! wcześniej wstają,

I mnie oto spać nie dają,

Za oknem mi wciąż szczebiocą,

Muszę wstawać, nie wiem po co?!
Albo znowu mała muszka

Brzęczy rankiem koło uszka,

I tu leci i tu siada,

Obudzić mnie ze snu rada.

I kogutek skoro dnieje,

Zaraz wstaje, zaraz pieje...

Peño wrzawy, peño krzyku:

Kikiryki! kukuryku!

Wszyscy przeskadzają we śnie,

I rad nie rad wstają wcześniej.

Stefan żalił się przed tatą

A ten tak odpowie na to:

— To i lepiej, mój Stefanie,

Korzystnem jest ranne wstanie,

Każdemu na zdrowie służy,

Czasu doda, dnia przydłuży.

Gdy cię ptaszki zbudzą wcześniej,

To im dziękuj za ich pieśni,

Niech nie gniewa cię i muszka,

Że pobrzęczy koło uszka,

I kogutek co to pieje,

Skoro tylko świta, dnieje,

Bo to wszystko, moje dziecię,

Na dobre ci wyjdzie przecie.

Tak, mój synku, wstawaj rano,

Wszak ci dobry przykład dano.

Kto się zbyt zabawia łóżkiem,

Tego ludzie zwą leniuszkiem.

Helena Bojarska.

Bajka o białym mężu i czarnej żonie.

(Z czeskiego).

Był kiedyś biały mąż i czarna żona, jakkolwiek się nieustannie spotykali, jednak nigdy nie szli obok siebie, ale zwykle jedno za drugim i to zawsze naprzemian, tak że raz szedł naprzód mąż, drugi raz żona.

Zajęcie obojga było bardzo różne: mąż budził ludzi i napędzał do roboty, nie dając im odpoczynku. Zaraz z rana przychodził z wielką latarnią, a gdzie tylko się zjawił, wszędzie zaraz powstawał ruch i wrzawa, tak że i leniwe śpiochy, chcąc nie chcąc musiały wstawać. Gdy się ludzie już dość napracowali, wtedy biały mąż gasił światło i znikał, żadnego po sobie nie zostawiając śladu, a natomiast zjawiała się czarna żona. Nie niosła ona z sobą żadnego światła, tylko nad jej głową wysoko

błyszczało nieprzeliczone mnóstwo małych iskierek, ale te świeciły bardzo słabo. Miała ona wprawdzie posłańca, który chodził pożyczac światła z latarni białego męża, ale tylko czasami mu się to udawało: Często poseł zbliżył się zanadto do białego męża; wtedy ten go chwycił i trzymał w więzieniu, i dopiero po tygodniu wypuszczał, aby mógł wrócić do swej pani.

Podczas, gdy biały mąż wszystko do pracy napędzał, czarna żona dawała ludziom wypoczynek i usypiała ich cichym snem. Ale dla leniuchów, którzy ziewali podczas pracy, była zła. Odmawiała im za to snu. Podobnie karała ludzi, których sumienie było obciążone jakimś złym czynem.

Kiedy spracowani ludzie dostatecznie odpoczęli i sił nabrali, odchodziła czarna żona szybko z ich kraju, bo się już zbliżał z latarnią biały mąż, a ona zwykle przed nim uciekała.

Takim sposobem zmieniali ciągle swoje panowanie, jedno drugiemu ustępując na pewien czas. Jakkolwiek sobie nie przeszkadzali, o jedno często zachodziły między nimi nieporozumienia. Każde z nich chciało dłużej panować.

Przychodził tedy biały mąż do krainy wcześniej i zatrzymywał się dłużej. A im dłużej trwały jego odwiedziny, tem przyjemniej było ludziom. Przyprawdzał ze sobą swego największego dobrodzieja, który się nazywał *Lato*, a zapraszał go aby z nim w tej krainie zamieszkał. Światło z jego latarni rozgrzewało ziemię, rozwijało na drzewach liście i kwiaty, na polach bogate kłosa, a na łąkach kwiatki.

Wtedy chwalili ludzie białego męża, a jego tak ta pochwała cieszyła, że czas swej władzy wciąż przedłużał, i czarnej żonie często zaledwie trzecią część swego czasu użyczał na pobyt w krainie, co także było konieczne, bo i on potrzebował trochę odpocząć. Gniewało to czarną żonę; zaczęła się tedy po świecie rozglądać, dokąd by się zwrócić mogła, i wkrótce wydalila się do innego kraju, o którym biały mąż będąc zajęty swem państwem, mało dbał. Tam skorzystała czarna żona z jego nieobecności, wezwała na pomoc najlepszą swą przyjaciółkę, ciotkę *Zimę* i wspólnymi siłami zepsuły wszystko, co biały mąż zrobił. Drzewa pozbawiły liści, łąki kwiatów, pola zbóż, ba, nawet trawie nie darowały życia i zasypały cały kraj śniegiem.

Gdy to spostrzegł biały mąż, przekonał się, że musi jednocześnie doglądać i innych krajów, począł tedy skracać swój pobyt w owej krainie, z której o mało co czarnej żony zupełnie nie wypędził — i przedłużał odwiedziny swe w owym kraju, którym owładnęła czarna żona, żeby tam znowu wskrzesić nowe życie. Jednakże obu tych krajów nie mógł jednakową otoczyć opieką; ale gdy chciał jeden budzić do życia, musiał w nim dłużej się zatrzymywać i prosić swego dobroczyńcy *Lata*, aby się tam przeprowadził. Ale jak tylko się tam osiedlili i zagospodarowali, zaraz czarna żona zajęła ze swą przyjaciółką krainę przez nich opuszczoną i poniszczyła w niej znowu wszystko, co oni wytworzyć zdołali.

Nie pozostało tedy białemu mężowi nic innego, tylko władzę swą mądrze rozdzielić; tak się przeto urządził, że naprzemian w obydwóch krainach przemieszki-

wał z jednej do drugiej kolejno się przenosząc. I czynno i tak ciągle — a ilekroć się przeprowadza zawsze ustępuje przed nim czarna żona i przenosi się do tego kraju, który on właśnie opuszcza.

Dwa razy do roku spotykają się w drodze, i wtedy dzielą się zgodnie i sprawiedliwie władzą nad krajem.

Wszyscy znacie tego białego męża i jego czarną żonę kochani czytelnicy; powiedzcież tedy, jak się oboje nazywają!

Antoszka.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— Dlaczego Jaś ciągle się kręci po kościele? — spytał Julek — przecież musi wiedzieć że to nie wolno. Powiedz mu Tomku żeby do nas przyszedł.

— On mnie nie posłucha. Poco mam darmo gadać? Na nic się to nie przyda.

— Co się na nic nie przyda? — zapytał Jaś wyskakując z sąsiedniej ławki. Ja wam powiem, oto na nic się nie przyda, jak będziecie tu obaj siedzieli z nosami spuszczone na kwintę. Chodźcie lepiej, pobawimy się w chowanego; nigdzie jeszcze nie widziałem takich doskonałych kryjówek.

— Jasiu! — zawołał Julek oburzony — jak możesz coś podobnego mówić?

— Chcesz nam prawić kazanie? Wiesz co? wejdz odrazu na ambonę.

Julek nic nie odpowiedział, tylko zaczerwienił się po uszy, a ja odezwałem się żeby odwrócić rozmowę:

— Mniejsza o to, ale w jaki my sposób wyjdziemy z kościoła?

— Od kiedy żyję, nie byłem jeszcze w takim miejscu, żebym się z niego nie mógł wydostać. Nie mówię o więzieniu, bo to co innego, i nigdy w niem nie siedziałem. Nie chcecie się bawić. Dobrze, za jakie dziesięć minut już nas tu nie będzie.

Mówiąc to odszedł, a po chwili powrócił i kazał nam iść za sobą.

Pod izbą dzwonników był duży pokój, używany czasem na zakrystyę. Okno jego wychodziło na drogę i było zaledwie na dwa łokcie wzniesionem nad ziemią. Jaś zauważył że się potrafi przecisnąć przez kraty, a ponieważ był większy od nas, przeprawa nie przedstawiała żadnej trudności. Jaś pierwszy się przesunął, za nim Julek a ja tak pośpiesznie chciałem się wydostać, że uderzyłem łokciem w szybę i szkło z łoskotem upadło na kamienną podłogę.

— Co tu robić? — zawołałem przestraszony, ale Jaś i teraz nie stracił głowy.

— To nic! — zawołał — rzucimy ten wielki kamień przez okno i każdy pomyśli, że któryś z chłopców strażąc kawki stłukł szybę.

Tak też zrobiliśmy i pobiegliśmy do domu żeby nasz zbiór powiększyć jajami kawek.

VI.

Tego dnia nie myślałem wcale o naszej przygodzie, bo po wyjściu z kościoła poszliśmy szukać gniazd zięby, jednak to się nam nie udało: darmo kręciliśmy się przez dwie godziny koło starego, omszonego muru, darmo rozchylaliśmy trawy i burzany, nie było śladu ani gniazda ani ptaków. Nie wiem czy nasz pobyt na dzwonnicy wywietrzył z głowy Julkowi tak prędko jak mnie, bo przez cały dzień był milczący, i namawiał mię żebyśmy lepiej poszli do pułkownika, niż cobyśmy się nieli uganiać z Jasiem po polach. Ale że mi bardzo szło o te jaja, nie sprzeciwiał się więcej i poszliśmy wszyscy trzej.

Na drugi dzień po obiedzie, kiedy przyglądaliśmy się dojeniu krów w oborze, Julek usłyszał rozmowę dwóch ludzi i zaraz mię przywołał, bo jak się pokazało, obchodziła nas więcej niż można było przypuszczać. Jeden z nich młody parobczak doł krowę, ale od czasu do czasu przerywał swoją robotę i zwracał się do Dawisa, który z łopata na ramieniu (właśnie uprzątał chlewy) stał oparty o mur od ogrodu.

— Ja wam powiadam — mówił Dawis — że chłopak dał mi najuroczystsze słowo, że nie on zawinił, a wiecie dobrze, że nigdy nie kłamie. Każdy to złoży na słabość ojcowską, mniejsza o to; ale co niesprawiedliwie, to niesprawiedliwie.

— Ktoś przecie musiał zawinić — odpowiedział Marcin.

— Naturalnie, ale pocóż zaraz oskarżać Bena i poco go bić, jeżeli on niewinny?

— Na waszem miejscu odebrałbym chłopca ze szkółki i posłał go do miasta.

— To samo mówiłem mojej kobiecie, ale ona bardzo szanuje pana Campbella i utrzymuje, że chłopcu nic nie zaszkodzi, jeżeli go raz więcej wybiją.

— Może ma i słusność. Chłopaki zawsze zasługują na karę, nie za to, co za co innego.

(d. c. n.)

SZARADA.

ułożyła M. B.

Pierwsza zdwojona, to ojcowskie miano;
Druga rzecz smaczna, lecz nie tu ją siano.
Miasto zaś znajdziesz, połączywszy obie,
Lecz gdzie? jak? pomyśl sobie.

KWADRAT MAGICZNY.

dla Kreta z Nowor.

Z liter rozmieszczonych w kwadracie z 16 przedziałek ułożyć wyrazy, których znaczenie podajemy.

a a a a	Skroplona mgła.
c c n r	Produkt drzew.
o o o o	Ptak z rzędu drapieżnych, z oddzia-
s s w w	[tu nocnych.

Dawniejsza nazwa używana w potocznej mowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Szarady: Nas — tur — cya.

Łamigłównki liczbowej:	50	100	50
	100	100	
	50	100	50

Skrzynka do listów.

Coraz rzadziej odzywam się teraz do was, drodzy moi, bo zastępuje mię młodsze rodzeństwo, któremu z serca życzę, aby pozyskało przyjaźń tych pocziwych serduszek, które dla mnie tak były hojnemi. Tak Józio, jak i Jaskółka chętnie będą odpowiadały na listy wasze — co mówię, chętnie! z najwyższą przyjemnością, bo oboje oddawna o tem marzą. Nie ty jedna tylko, Kingo, o to mię pytasz; wszystkim więc odrazu odpowiadam, że w Wieczorach dla braku miejsca nie drukuje się liścików, których liczba wzrosła do zbyt szerokich rozmiarów, tak że ich zmniejszyć wszystkich nie było podobna, tym więcej że nie mało miejsca będzie korespondencya, którą my troje z wami prowadzimy. **Bystry Koń**, mnie jednej zawsze wierny, przysłał łamigłównki, dotąd jeszcze nie przejrane, ale jeśli okażą się dobre, to czemużby drukować ich nie miano? Każda odezwa od Was pochodząca, sprawia mi zawsze najżywszą przyjemność, o czem „mała” Aza wcale wątpić nie powinna. Obraziłabym się nawet na prośbę „nie bądź bardzo srogą”, gdybym nie miała serca wyjątkowo miękkiego dla tych, które piszą o sobie „jestem jeszcze mała. **Niezapominajce z nad Warty** odpowiadamy że nie tak nie wyrabia stylu, jak czytanie wzorowych pisarzy. Droga **Głównko cukrowa**, dlaczegożbym się nie miała odezwać do ciebie równie serdecznie jak do innych? Ciebie i siostrzyczki twoje chętnie zaliczam do grona swoich siostrzyczek, którym zawsze jestem i pozostanę wierną za okazywaną mi przyjaźń. Wasza zawsze.

Gołąbka.

Kochani moi, radością i dumą przejmuję mnie każde słówko do mnie wyłącznie zwrócone. Nie zazdroścę Gołąbce ufności waszej i przyjaźni, zasłużyła bowiem na nie, gorliwie wam będąc oddaną od tak dawna, ale miło mi widzieć, że i dla drugiej ptaszyny, jeszcze drobniejszej i płochliwszej, macie życzliwość w pogotowiu. **Gama C-dur** pisze mi, że ją „ujęłam za serce”, a ja właśnie obawiałam się czy was od siebie nie odstręczę, przyznając się do figla wyrządzonego przed laty Gołąbce. Z jej opowiadań znam was wszystkie: i ciebie **Gamo C-dur**, z którą zażyłość mi pochlebia, bo mnie daleko jeszcze do skończenia pensyi, i ciebie, **Figlar-ko**, nad której sieroctwem ubolewałam wraz z Gołąbką. Nie zapomni ona o tobie, bo całym sercem współczuła twojej boleści, teraz jak najlepsza siostra razem ze mną się cieszy życzliwym przyjęciem, jakiego od was doznaje. **Niestety!** i mnie także zapowiedziano w Redakcyi, że muszę pozostać dla was nieznaną! nie zobaczymy się więc, a jeżeli się nawet zobaczymy, to nie będziesz wiedziała, że wysoka, niezgrabna panienka jest zwinną w locie Jaskółką. Czy postanowiłaś otrzymać nagrodę? Zdaje mi się że ta nie będzie pierwszą tobie przysądzoną. **Lilijka z Północy** może być spokojną o komedyjki, pojawiają się one w naszym piśmie i mogą być grywane przez małych amatorów. Kto to „na początek przesyła mi uściśnienia” a na końcu listu nie położył ani imienia, ani pseudonimu? Odwzajemniam się uściśnieniem, bo to z pewnością ktoś życzliwy, ktoś równie serdeczny jak ta kochana **Dziewoja**, której konkursowe wypracowanie chętnie biore pod opiekę. **Niestety!** moja opieka!... Nie wiem, czy wiele znaczy w Redakcyi, gdzie znano mię niedawno takim dzieciakiem, że dotąd nikt nie uznaje mojej powagi. Gołąbka, to co innego! tej głos ma swoje znaczenie. Ja zaś, marna jestem, ale kochać was gotowa.

Jaskółka.